

Gombrowicz – kreator rzeczywistości

Witold Gombrowicz opisywał w swoich dziełach życie jako nieustanny spektakl. W tym przedstawieniu ludzie są jednocześnie reżyserami i aktorami, którzy muszą wciąż improwizować, ustosunkowywać się do gry innych oraz do własnych słów i gestów. Każde zdanie i czynność muszą być uzasadnione kolejnymi ruchami, które również wymagają usprawiedliwienia i prowokują ripostę ze strony innych osób. Człowiek jest wciąż stwarzany i sam stwarza; dorabiane są mu gęby i sam nakłada sobie maski; wciąż odwołuje się do innych ludzi, samemu będąc najwyższą instancją. Z tej tajemnej gry międzyludzkiej rodzi się niezidentyfikowana, trudno uchwytna, demoniczna, ale i błazeńska forma.

Formy tej nie można przewyciężyć, bo powstaje ona niezależnie od ludzi i w trakcie gry, która nie ma reguł. Zdarzają się jednak sytuacje, w których ktoś świadomie próbuje grać i reżyserować. Często postępował tak sam Gombrowicz i stawał się kreatorem otaczającej go rzeczywistości. W jego *Dziennikach* i wielu książkach zawierających wspomnienia osób, które miały z nim choćby tylko chwilowy kontakt, można znaleźć anegdotyczne opisy takich sytuacji.

Witold już w młodości zaczął się ćwiczyć w złośliwych prowokacjach, które skupiały na nim uwagę otoczenia. Szczególnie dał się we znaki swoim kuzynom, Mieczysławowi i Zygmuntowi Skibniewskim. Witold, uczeń Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki w Warszawie był częstym gościem stacji dla gimnazjalistów przy Marszałkowskiej 35, gdzie mieszkali Skibniewscy. Lubił odrywać ich od nauki i mieszać szyki. Siedział do późna i zabawiał przeróżnymi opowiastkami, a im bardziej jego obecność była nie na rękę gospodarzom tym historyjek i rodzinnych ploteczek było więcej. Zazwyczaj kończyło się na tym, że Gombrowicz wracał do domu późną nocą, a kuzyni wymęczeni jego wizytą nie mieli już siły ani czasu, aby odrobić lekcje. Gdy kiedyś Witold dowiedział się, że Mieczysław idzie do biblioteki, na poczekaniu wymyślił historię o dygotkach babki. Oczywiście po takiej wiadomości Skibniewski, przejęty złym stanem zdrowia starszej pani, zamiast bibliotekę odwiedzał babkę, której nic nie dolegało. Dzień dla Mieczysława był stracony, a Witold triumfował. Innym razem to jednak młody Skibniewski mógł być górą. Na towarzyskim spotkaniu w mieszkaniu przyszłego pisarza zagrał brawurowo na fortepianie „Appassionatę” Beethovena. Sypnęły się brawa i pochwały. Wszyscy skupili się wokół wykonawcy utworu. Gombrowicz nie mógł znieść, że ktoś inny jest w centrum uwagi. Zdesperowany przyłożył rękę do policzka i zaczął krzyczeć na cały głos, że okropnie bołą go zęby i nie wytrzyma z bólu. Towarzystwo rzuciło się na ratunek i piękna gra Mieczysława poszła w zapomnienie.

Po tych młodzieńczych wprawkach, jako początkujący literat i bywalec warszawskich kawiarni prowokował swoimi opiniami i zachowaniem całą artystyczną bohemę. Niby od niechcienia rzucał jakieś uwagi, coś komuś napomknął, do kogoś się uśmiechnął, do kogoś skrzywił i już rodziły się kłótnie i powstawały starcia. Postępował tak, bo nie chciał dopuścić do błahych dyskusji, które jak twierdził nie przystoją artystom.

Chociaż graczem był przeciętnym, często grywał w bilard z satyrykiem Andrzejem Nowickim, który był dobrym zawodnikiem. Przy każdej partii autor *Ferdydurke* odgrywał swój teatrzyk i dekoncentrował przeciwnika. Wskazywał Nowickiemu niemal każdą kobietę w zasięgu wzroku licząc, że jej wdzięki go rozproszą. Wymyślał prześmiewcze wierszyki i podśpiewywał złośliwe piosenki, dzięki którym zawsze odchodził od stołu jako zwycięzca.

Inny satyryk, Eryk Lipiński był jednym z nielicznych, któremu udało się zabawić kosztem pisarza. Było to w czasie, kiedy Gombrowicz pisał pod pseudonimem powieść *Opętani* ukazującą się w odcinkach w *Kurjerze Warszawskim*. Jednym z jej bohaterów był trener tenisa o nazwisku Walczak. Lipiński wysłał do redakcji gazety list, w którym przedstawił się jako Walczak, trener tenisa z Krakowa. Żądał natychmiastowej zmiany nazwiska postaci i groził osobistym rozliczeniem się zarówno z autorem jak i z redaktorem. W kolejnym odcinku powieści trener nazywał się Leszczuk, ale Gombrowicz nigdy publicznie nie uzasadnił tej zmiany.

W Argentynie również lubił zablysnąć w artystycznym i literackim środowisku. Spektakularne wydarzenie z udziałem Gombrowicza po latach wspominał Jorge Luis Borges (na nim wzorowana była postać największego argentyńskiego pisarza w *Trans-Atlantyku*). Na jednym ze spotkań polski literat wystąpił i oświadczył, że wyrecytuje wiersz, a jeśli w ciągu pięciu minut nikt nie zaprezentuje innego, całe towarzystwo będzie musiało uznać go za największego poetę w Buenos Aires. Rymowanka była bardzo banalna i odzwierciedlała dość pogardliwy stosunek autora *Pornografii* do poezji:

Cip, cip, wołałem do kozy
Kiedym kopiował bogatego pryka
Niechaj żyje angielski monarcha
Wiwat dla męża twego Fryderyka¹.

¹ Grinberg, Miguel. Wspominając Gombrowicza. – Warszawa, 2005, s. 20

Nikt z obecnych nie odpowiedział na wyzwanie i Gombrowicz ogłosił się królem poetów. Uważał się również, i głosił to wszem i wobec, za wielkiego pisarza. Miana jednego z najważniejszych literatów XX wieku nie odmawia mu z pewnością literaturoznawca Michał Głowiński. Miał on okazję poznać osobiście mistrza, gdy ten przebywał w Paryżu. Rozmowa zaczęła się krótkim przeegzaminowaniem Głowińskiego ze znajomości filozofii Kanta, Husserla i Sartra. Literaturoznawca był tak stremowany i zaskoczony tym niespodziewanym testem, że nie był w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie. Jednak nie zniechęcił tym do siebie pisarza. Autor *Ferdydurke* powiedział mu, że poczuł do niego sympatię, gdy mieli okazję rozmawiać przez telefon. „Wyraźnie drżał panu głos – wyjaśniał Gombrowicz – może się pan tego nie wstydzić. Gdy rozmawia się z wielkim pisarzem, powinno się być zdenerwowanym i mówić drżącym głosem”². Na pożegnanie kazał Głowińskiemu rozpowiadać w Warszawie, że w czasie ich rozmowy na korytarzu, przed drzwiami Gombrowicza czekał na spotkanie sam Jean-Paul Sartre! W tamtych latach w Polsce nie wydawano książek Gombrowicza. Uważał on, że w kraju docenione i wydawane będzie tylko to, co zaakceptowane w Europie, a trudno byłoby znaleźć większy i bardziej spektakularny dowód uznania niż Sartre oczekujący pod drzwiami na audiencję.

Przed widownią mniej znaczącą niż ludzie pióra też lubił dawać popis. Kiedyś umówił się ze swoim znajomym, że w autobusie, aby zadać szyku i zaimponować współpasażerom będą ze sobą rozmawiali, jakby Gombrowicz był dyrektorem orkiestry, znającym samego Arturo Toscaniniego. Kolega zaczął rozmowę rzucając jakieś fachowe uwagi. Gombrowicz tylko kiwał potakująco głową. Tamten ciągnie swoją rolę dalej i pyta o list Toscaniniego, a wtedy domniemany dyrektor, głośno, żeby wszyscy dobrze słyszeli, mówi tak: „Młodzieńcze, dziwię się... Toscaniniego nie znałem, dyrektorem orkiestry nie jestem i nie rozumiem doprawdy po co ci popisywać się przed ludźmi udając muzyka”³.

To nie jedyny przypadek, gdy pisarz rozgrywał swoje żarty wokół muzyki i muzyków. Gdy do Buenos Aires przyjechał Andrzej Panufnik, wielki kompozytor i dyrygent polska śmietanka emigracyjna wydała na jego cześć przyjęcie. Obecny tam Gombrowicz zaproponował Panufnikowi, żeby zagrali coś na cztery ręce. Zasiedli obaj do fortepianu, położono przed nimi nuty i zaczęli grać. Ale naprawdę grał tylko Panufnik, bo Gombrowicz, który nie znał nut, uderzał jak popadnie w klawisze. Nie wiadomo, jak zareagował na to muzyk, wiadomo tylko, że pisarz był bardzo zadowolony i dumny ze swojego „muzycznego” wyczynu.

² Siedlecka, Joanna. Jaśnie Panicz. – Warszawa, 2003, s. 203

³ Gombrowicz, Witold. Dziennik 1961-1969. – Kraków, 2004, s. 19

Jednak Gombrowicz to nie tylko błazenada i teatr. Bywał on szczery i naturalny, jak mało kto, nawet w sytuacjach, gdy ta otwartość ukazywała go nie jako wielkiego i świątę literata, ale błędzącego i wciąż poszukującego człowieka. Kiedyś został poproszony o wygłoszenie wykładu dla studentów w Santiago. Przyzwyczajony już do mistyfikacji zaczął przemawiać w bardzo uczony sposób, swobodnie żonglując pojęciami naukowymi, sypał jak z rękawa nazwiskami filozofów i pisarzy. Zdawał sobie jednak sprawę, że każdy trochę obeznany w temacie mógłby go zdemaskować kilkoma dociekliwymi pytaniami. W pewnym momencie, spoglądając po sali i widząc twarze i pozy słuchaczy, pisarz zdał sobie sprawę, że tu idzie o coś więcej niż tylko artystyczny i literacki popis. Tu chodziło o niego samego i to jak bardzo podbije i poruszy serca studentów. Jak sam przyznał w *Dzienniku* wtedy pierwszy raz tak zdecydowanie odrzucił całe aktorstwo, zaczął przemawiać z pasją i namiętnością. Po wykładzie spotkał się ze szczerymi wyrazami uznania, które pozwoliły mu zrozumieć jak wielka jest w nim siła.

Taką naturalną twarz miał dla nielicznych, ale to dzięki niej zjednywał sobie ludzi. Kilka lat przed śmiercią, przebywając w Royaumont poznał Ritę Labrosse, swoją późniejszą żonę i opiekunkę całej literackiej spuścizny. Był już wtedy ciężko chory, przez to bardziej stonowany, ale nie mniej charyzmatyczny i fascynujący jak w młodości. Rita opisała wrażenie jakie na niej zrobił Witold i ten opis jest chyba najlepszą i najprawdziwszą charakterystyką pisarza i najcelniej podsumowującym to, co w nim i zarazem w jego twórczości najbardziej wartościowe: „Był jednocześnie rozbawiony i zabawny, wszystkiego ciekaw. Uderzyła mnie jego samotność, a także naturalność, z jaką o niej mówił. Był człowiekiem powściągliwym i bezpretensjonalnym, pozbawionym środowiska, interesującym wyłącznie ze względu na swoją osobowość”⁴.

Michał Pawlicki

⁴ Gombrowicz, Rita. *Gombrowicz w Europie*. – Kraków, 2008, s. 331